

Murzyński parlament

Obyczaje Zulusów

Ostatnie depesze agencji Reutersa donoszą o krwawych walkach, jakie wybuchły pomiędzy różnymi plemionami Zulusów. Dla uspokojenia zamieszek rząd będzie musiał wysłać większy oddział wojska. Zulusi są szczepem afrykańskim Kafrów, ziemieszkującym Unję Afryki Południowej. Tworzyli oni niezależne państwo, które zostało podbite przez Anglików w r. 1879. W r. 1887 część kraju została wcielona do Natalu pod nazwą krainy Zulu. Przez jakiś czas plemiona te, liczące około 200.000 głów, żyły stosunkowo spokojnie. Nie obeszło się wprawdzie bez drobnych nieporozumień wewnętrznych, były to jednak przeważnie porachunki osobiste, które likwidowano w przeciągu kilku dni. Żyje jednak wśród nich pamięć ciągłych walk o niepodległość i bohaterów, którzy gotowi byli wszystko poświęcić dla zrzucenia jarzma angielskiego. Imiona ich: Kja-ga, Dingane, M'paude, Cetszajo znane są każdemu Zulusowi. Pierwszy z nich słynął ze swego okrucieństwa i egoizmu. Kiedy zmarła jego ukochana matka Nandi (bohaterka powieści Ridera Haggarda, zatytułowanej „Nada the Lily”), kazał wymordować 700 poddanych kobiet, mężczyzn i dzieci po to tylko, by rodziny zabitych wzięły udział w jego żałobie.

Wiele bezwątpienia od tego czasu zmieniło się. Władcy Zulusów stali się bardziej kulturalni. Lubią oni otaczać się mędrcami, których rad i wskazówek słuchają pilnie. Być może, że na złagodzenie ich postępowania wpłynęła również interwencja władz brytyjskich. Dziś plemiona te, pozostające pod opieką Anglików, zachowały w stosunku do swoich władców krajowych szacunek i uznanie, zyskując swobodę wyrażania swej opinii. Ciekawe jest jak w praktyce przedstawia się ta swoboda, a przede wszystkim jak prześladali ją obyczaje i wierzenia Kafrów, którzy odznaczali się zawsze odwagą, inteligencją i nadzwyczajną łatwością przystosowania się do warunków.

Francuski tygodnik „Lu” opisuje właśnie oryginalne życie w kraju Zulusów.

Obrady pod gołębem niebem

Wszystkie prawie plemiona posiadają ustrój zbliżony do systemu parlamentarnego. Zgromadzenia odbywają się pod gołębem niebem w polu, gdzie „deputowani”

siedzą „w kuczki” na ziemi. Władca zajmuje fotel, który jest bodaj jedyną odznaką jego wyższości. Wszystkie przemówienia są starannie opracowane, pełne rozważań i niepozbowione słusznej argumentacji.

System parlamentarny Zulusów przypomina w zarysie ustrój faszystowski. Deputowani nie są bowiem przedstawicielami woli ludu, lecz tymi, którzy otaczają przywódców i udzielają im rad w czasie zgromadzenia. Co roku odbywa się wyznaczanie nowych deputowanych. Król pozbawia godności tych, którzy okazali się mniej zdolni lub mniej inteligentni, a na ich miejsce powołuje spośród młodych takich, którzy uważają się sami za godnych do piastowania urzędu. Jeżeli jednak okażą się nieodpowiedni, zostaną wygnani w rady wśród sztyderstw i kpin.

Deputowani szanując władzę króla, starają się udzielać mu rad i wspierać go swoim doświadczeniem. Czynią to z wielkim taktem i umiarem, tak, by nie dotknąć godności osobistej władcy. Ten skolei stosuje się do wskazań w ten sposób, by nie przynieść uszczerbku swojej powadze. Nad wnioskami nie głoszą się. Król po wysłuchaniu różnych opinii, decyduje sam jak należy postąpić w danym wypadku. Nierzadko zdarza się, iż decyzja jest zupełnie niezależna od rad deputowanych. Poddani słuchają decyzji króla nawet w tym wypadku, gdy władca nie uważa za stosowne umotywić swego rozporządzenia.

Zulusi wolą nawet, by król rzucił niezależnie od woli tłumu. Stanowczość postępowania zyskuje mu uznanie.

Lekarze a P.C.K.

Naczelna Izba Lekarska wystosowała odczwę do ogółu lekarzy polskich, w której stwierdza, że świat lekański brał zawsze żywy udział w akcji, dążącej do wprowadzenia w życie zadań państwowych i społecznych.

W myśl tej tradycji, zarząd N. I. L. zwraca się do wszystkich lekarzy z wezwaniem o współpracę oraz poparcie Polskiego Czerwonego Krzyża przez zapisywanie się na jego członków. Oddziały P. C. K. znajdują się we wszystkich miastach powiatowych.

Ukarany władca

Przypominam sobie — pisze autor artykułu w „Lu” — scenę, gdy jeden z Zulusów zawstydził publicznie króla. Działo się to w ten sposób: Władca uniesiony gniewem, zwrócił w sposób zbyt ostry uwagę jednemu z doradców. Oburzony tem inny deputowany powstał i przemówił: „Panie, obrażasz jednego z twoich wiernych poddanych. To źle. Dlatego też skazuje cię na grzywnę funta szterlinga, ażebyś wynagrodził krzywdę temu człowiekowi”.

Król zakłopotany, a jednocześnie rozniewany zapytał:

— Jak śmiesz odzywać się do mnie w ten sposób, ty który jesteś starym psem zmarłego mego ojca!?

— W istocie jestem tylko starym psem zmarłego twojego ojca i jestem z tego dumny, ale właśnie dlatego muszę cię upomnieć. Panie, psy twojego ojca nie były pozbawione wolności, a zwykle szczeniakiem przestrzegały przed niebezpieczeństwem. Twój ojciec umiał nas wysłuchać i zrozumieć. Ty jesteś mniej roztropny i możebyś chciał założyć nam kaganiec? Powiedz więc otwarcie. Jeżeli tak jest, to wolałbym od razu opuścić ciebie i przylączyć się do plemienia, gdzie stare psy nie są bite kijami.

Władca wzruszony temi słowami ucałował starca i prosił go o przebaczenie. Następnie zaś wypłacił grzywnę jednego funta na ręce obrażonego uprzednio posła.

Warto przytoczyć jeszcze jedno zdarzenie, świadczące o silnie rozwiniętym poczuciu sprawiedliwości.

Naczelnik M'fuelwa sądził pewnego dnia sprawę o kradzież, w której oskarżonym był jeden z najlepszych jego przyjaciół i towarzyszy z lat dziecińczych. Sytuacja była kłopotliwa. Sami zresztą sędziowie znając przywiązanie M'fuelwy do przyjaciela czuli się niepewnie. Dla ułatwienia naczelnikowi wymiaru sprawiedliwości, starali się wynaleźć szereg okoliczności łagodzących, by zmniejszyć w ten sposób odpowiedzialność przestępcy. Wyrok łagodny wydawał się pewny. Jakież jednak było zdumienie obecnych, gdy usłyszeli następujące słowa: — Oskarżony okrył hańbą pamięć swego ojca. Okrywa hańbą mnie,

swego przyjaciela lat dziecińczych i całe plemię, które powinno mieć lepszych synów. Z tych to powodów skazuje cię na zapłacenie grzywny twojemu sąsiadowi, którego okradłeś. Przedmiot skradziony jest mało wartościowy, ale zapłacisz aż dwa funty szterlingi, abyś wiedział jak wielkie przestępstwo popełniłeś.

To powiedziawszy władca zamilkł na chwilę, poczem dodał głosem wzruszonym: — Jednakże wiem, że jesteś biedny i dlatego daję ci te dwa funty na zapłacenie grzywny. Idź i oddaj je natychmiast poszkodowanemu.

Od tej chwili M'fuelwa pozyskał jeszcze większy szacunek swego plemienia. Dał bowiem dowód, że potrafi być sprawiedliwym sędzią i dobrym przyjacielem.

Sztuczne witaminy

Nowa zdobycz nauki

Profesor v. A. Engelhardt na łamach moskiewskiego pisma „Priroda”, zajmuje się rozwiązaniem problemu witamin i stwierdza, że drogą badań, przeprowadzonych w tej dziedzinie, podzielić można na szereg etapów.

Pierwszy etap jest najprostszym i najdostępniejszym: chodzi o wprowadzenie do naszych codziennych pokarmów jaknajwiększej ilości produktów zawierających witaminy (są to przeważnie produkty roślinne). Potrzebę spożywania takich produktów widzimy w większości zwierząt, którym ten rodzaj pożywienia wskazany został przez prawo natury.

W drugim etapie produkty te zostały sumiennie podzielone, według ich licznych rodzajów. Badania różnych gatunków roślin miały w tym wypadku bardzo duże znaczenie. Prace prof. N. J. Iwanowa prowadzone w laboratorium „Instytutu badania roślin”, wykazały to w całej pełni. Prof. Iwanow dowiódł również, że niektóre gatunki jablek posiadają w dużych ilościach witaminy przeciwskorbutowe (przeciwskorbutowe), a inne gatunki i to właśnie najsmaczniejsze, jak kalwie i renety, nie posiadają ich wcale. To samo powiedzieć można i o niektórych jarzynach.

Znane są częste wypadki świadczące o okrucieństwie ptaków. O jednym z nich opowiada turystka angielska Mary Windsor. W czasie jednej ze swych wycieczek narciarskich w Alpach znalazła się ona w pobliżu Arosa, na wysokości około 2000 mtr. Nagle usłyszała przeraźliwe wrzaski ptasie. Posunąwszy się ku załamaniu skał zobaczyła następujący obrazek. Na niewielkiej skalnej platformie pokrytej śniegiem kilkanaście kruków otaczało swoją ofiarę. Był to duży rozmiarowy stary kruk, który oparłszy się o skałę krakał rozpaczliwie. Początkowo narciarka nie mogła się zorientować, w krótkim jednak czasie zrozumiała, że stała się świadkiem sądu ptaków nad ich „współrodakiem”. Przypatrując się tej scenie przez chwilę mogła ona naczucie stwierdzić ile okrucień-

stwa mają w sobie kruki. Rzuciły się one na swoją ofiarę pojedynczo lub po kilka naraz zadając jej straszliwe ciosy. Za każdym z nich kruk skazany na śmierć chwiał się i jęczał żałośnie, ale, rzecz charakterystyczna nie bronił się wcale. Krakanie napastników stało się coraz to bardziej triumfalne. Spłoszone przez turystkę kruki odleciały z miejsca „egzekucji”. Umieściły się jednak w pobliżu, by móc strzec swej ofiary. Zraniony ptak miał złamane przez oprawców skrzydło oraz rozdarta dziobami pierś. Nie uciekał przed narciarką, która starała się zrobić mu opatrunek. Wkrótce jednak kruk zdechł.

Ciekawe byłoby zbadać, jakie były motywy tego wyroku, wydanego przez sąd kruków wśród szczytów alpejskich.

W trzecim okresie zaznaczają się wysiłki, idące w celu sztucznego zwiększenia ilości witamin w takim lub innym wytworze natury. Naprzekiada okazało się możliwe pomnożenie witamin w mleku przez dobranie odpowiedniej paszy dla krów, albo przez naświetlanie ich promieniami ultrafioletowymi. Te środki nie wystarczają jednak jeżeli chodzi o wprowadzenie witamin do produktów, które nie zawierają ich w ilościach dostatecznych. W tym wypadku osiągnąć będzie można pomyślnie rezultaty dzięki stworzeniu witamin sztucznych. Dzisiaj zaczęto już używać wyciągów z witamin otrzymywanych z różnych substancji, przede wszystkim roślinnych. Z oszczędnościowego punktu widzenia, ciekawe jest to, że oprócz produktów spożywczych do wyrobu wyciągów nadaje się również żywność sośny, dostarczająca witaminy przeciwnie.

Czy etap ten stawia nas u kresu naszych dążeń? Zapewne nie, bo musimy dojść do stworzenia witamin chemicznie czystych. Do tego celu prowadzą dwie drogi. Albo będziemy się starali otrzymać je z wyciągów witaminowych, albo wyzwolimy się zupełnie z konieczności posługiwania się przetworami natury, poto, by wy-

leźć witaminy syntetyczne. Która z tych dróg jest lepsza? Badania naukowe wskazują nam, że bezwzględnie druga.

A jakie mamy środki do wyrobienia tych witamin? Zanim damy odpowiedź na to pytanie, zbadać musimy skład chemiczny każdej witaminy naturalnej. Z chwilą, gdy wyjaśnimy już jej budowę i otrzymamy witaminę chemicznie czystą, droga do syntezy będzie już dla nas otwarta.

W ostatnich latach, w dziedzinie witamin nauka zrobiła duże postępy. Poznano już dokładnie witaminę przeciwnieciową C. Jeżeli chodzi o witaminę D wskazana przeciw krzywicy, to zbadać już formułę jej prowitamin, czyli substancji, z której powstała pod wpływem działania promieni ultrafioletowych. Właściwości chemiczne witaminy E niestety jeszcze nie są zbadane.

Jak widzimy, pierwszy warunek otrzymania syntezy dla niektórych witamin już jest spełniony. Ten ostatni etap, dla chemii nowoczesnej jest łatwy do przebiecia, tembardziej, że osiągnęła już ona duże sukcesy w tej dziedzinie. Fabrykuje się już witaminę D i jej prowitaminę, a przed rokiem udało się wytworzyć pierwszą syntezę witaminy C. Nie trzeba więc wątpić w to, że w niedługim czasie otrzymamy syntezę witamin A i B2.

Utworzenie witamin syntetycznych będzie o wiele dogodniejsze niż przyrządzanie skomplikowanych i niedoskonałych wyciągów witaminowych. Z całą pewnością. Stwierdzić możemy, że witaminy syntetyczne przewyższą naturalne, jak tak dawniej barwy syntetyczne zastąpiły kolory naturalne, albo tak, jak dziś w medycynie lekarstwa naturalne ustąpiły syntetycznym.

W wyniku obliczeń okazuje się, że zastosowanie sposobów produkcji przemysłowej witamin zależeć będzie od korzyści, jakie da ich wytwórczość.

Tymczasem wiemy już, że zagranicą sprzedaje się witaminy syntetyczne C. Pewien dziennik angielski podaje ciekawą wiadomość; mianowicie obliczono, że skrzystalizowana witamina syntetyczna D, która przed 2 laty wypuszczono na rynek, kosztuje 8 razy taniej niż ta sama ilość witamin naturalnych zawartych w trawie. M. Kühn wykazał zaś w swojej pracy o witaminie B2, że z jednego tylko kilograma odpowiedniego produktu chemicznego otrzymać można tyle witamin, ile otrzymuje się z 1 i pół miliona litrów mleka.

J. B. Priestley

BOHATER

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli wrócę do miasta tym późnym pociągami, co przychodzi o drugiej nad ranem! — Zły, z próżnymi rękami (nie dla Shuckelwortha!), głodny i zmęczony, Kinney gotów był kłać w żywy kamień wszystko, nie wyłączając fatalnych połączeń kolejowych w tym zapadłym kącie.

— Niema innego pociągu — odezwał się szofer, którego giętkowata wesołość zaczynała drażnić pasażera.

— Więc nie pojadę dziś wcale, — fuknął. — Dokąd pan teraz jedzie na noc?

— Skąd przyjechałem dziś rano: do Uttertonu.

— Gdzie jest Utterton i co to jest?

— To miasto, ze dwadzieścia mil stąd, pełne kurzu węglowego i okropnych zapachów; na każdym kroku tablice z napisami: „Niebezpieczeństwo!”, „Nie palić!”

„Nie zbliżać się!” To jest Utterton.

— POCO te wszystkie ostrzeżenia? — rzucił Kinney, jakby i tem także los go umyślnie doświadczał.

— Bo tam wyrabiasz całą masę wybuchowych materiałów. Jeden papirusik w niewłaściwym miejscu, — ciągnął wesoło szofer — i cały kram wylatuje w powietrze. Przyjemna dziura ten Utterton.

— Wyobrażam sobie. Ale czy mógłbym tam dostać przyzwoity obiad i nocleg?

— W restauracji hotelowej przy dworcu dadzą panu befsztyk z kartoflami, kawałek sera i szarlotkę. A łóżka są tam całkiem porządne.

— To wystarczy, — zgodził się znużony i zgnębiony Kinney. — Jedziemy do Uttertonu.

Przy końcu dwunastomilowej drogi, jak brzydka zabawka wisząca na końcu długiego, mokrego sznurka, znajdował się Utterton. Miasteczko wyglądało dokładnie tak, jak je określał szofer, i Kinney, który nienawidził miast przemysłowych, patrzył wokoło z głęboką odrazą. Gdyby się sam nie znajdował w tem mieście, nie miałby nic przeciw temu, żeby natychmiast wyleciało w powietrze. Hotel przy dworcu wyglądał tak, jak... hotel przy dworcu. W początkach swej kariery Kinney pożywał się, popijał i gryzmolił w setkach takich restauracji, ale gdyby nawet mógł obecnie rozpamiętywać te czasy, czy nie wzbratyby mu łzami rozczulenia.

Na sali było trzech mężczyzn. Dwaj z nich, jedząc wspólnie obiad i zachowując się bardzo hałaśliwie, byli najwidoczniej komiwojażerami. Trzeci, robił wrażenie, jakby przybył do Uttertonu popełnić samobójstwo i właśnie spożywał ostatni, swój posiłek na tym świecie. Spod drzwi wiało zimnem i wilgocią. Kelner miał katar.

Można było dostać befsztyk ze smażonymi kartoflami, sera pod dostatkiem, ale nie było szarlotki, tylko kompot brzoskwiniowy i ciastka z kremem (ulubiony deser w Uttertonie). Panowała przynębiająca nuda aż do chwili, kiedy wpadł zwawy młodzieniec w białym kielasie na długim nosie.

— Dobry wieczór, George! — krzyknął do kelnera. — Dobry wieczór panom! — rzucił na sale. Spojrzał na Kinneya i utkwiał w nim uparcie wzrok.

— Przepraszam pana, — zaczął, tracąc zupełnie rozmach — czy przypadkiem nie pan Kinney?

W pytaniu tem zabrzmiał szacunek.

— Tak, nazywam się Kinney.

— Odrazu tak pomyślałem. Pan mnie nie zna, ale ja pana znam. Słyszałem pańskie przemówienie na do-

rocznym bankiecie naszego Związku. Pojechałem specjalnie na ten bankiet do Londynu.

— A, więc pan jest dziennikarzem?

— Oczywiście, że jestem, — odpowiedział z dumą — a w dodatku tutejszym korespondentem „Trybuny”. Nazywam się Chanton.

Na dowód swych słów wyciągnął bilet wizytowy i położył przed Kinneyem, któremu objawy poważania ze strony młodego człowieka poprawiały trochę humor.

— Pan tu jada? Proszę, niech pan siądzie ze mną.

— Dziękuję bardzo, panie Kinney

— Napijemy się?

— Dziękuję, chętnie. Ale to ja powinienem pana zaprosić...

— Czy dlatego, że jest pan miejscowym korespondentem, co?

— Tak, oczywiście, — roześmiał się Chanton.

Twarz mu promieniowała radością. Oto siedzi przy jednym stole, żartuje, śmieje się, a zaraz będzie pił z wielkim Halem Kinneyem!

I Kinney był także rad, że nie jest sam. Nie miał nic dla Shuckelwortha. Ze Stoneleyem taki wpadunek, a w tej zapadłej dziurze nie widział nawet cienia efektownego, wielkiego tematu. Po obiedzie będzie musiał zatelefonować do Shuckelwortha, żeby go o tem zawiadomić. To doprawdy poniżające, równie poniżające jak sposób, w jaki musiał opuścić dom Stoneleyów. Cały ten przeklęty dzień był jednym poniżeniem. W tym nastroju spotkanie ze skorym do usług i pełnym szacunku Chantonem, który uważał go za półboga, było dla Kinneya wprost błogosławieństwem. Rozgrzewał się w promieniach jego uwielbienia. Czuł się znowu wielkim dziennikarzem. Toteż roztoczył cały blask swojej sławy przed Chantonem.

(D. c. n.)

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony 666 99 (sekretariat, dodatkowy red. naczelny); 666 62 (dla polityczny i ekonomów) 636 62 (dla artystów i literatów); 666 53 (miejscowy). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 11—12.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Zgoda 1. Telefony: Administracja i Zarząd 691 64. Prenumerata 691 66. Wydział ogłoszeń 691 56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — A B C Warszawa, Konto P. K. O. Nr. 13550.

PRZEDWIERCIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefińska 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Stowackiego 9, tel. 59; Warszawa, Czarna 26, tel. 136.

PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnieniem do domu) i zamiejscowa — zł. 450 miesięcznie. Konto czekowe P. K. O. Nr. 13550.

Ceny ogłoszeń:

za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalty (na wszystkich stronach po 6 szpalt): na 1-iej stronie — 1 zł., w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Reklamy reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł. i karske — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a tłusty druk — podwójnie. Notatki (Kom.) za terminy druku ogłoszeń Adm. redakcja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieszyński.